

Pomiędzy dziennikarstwem a poezją

**Z poetką, pisarką i dziennikarką, Barbarą Gruszką-Zych -
rozmawia Joanna Sokołowska- Gwizdka**



Barbara Gruszka-Zych, fot. arch. BG-Z

W grudniu 2020 r. wyszedł Twój najnowszy tomik „Mój cukiereczek”. Powstał z wierszy pisanych podczas pandemii. Czy tak?

W początkach pandemii pisanie wierszy stało się dla mnie codziennym rytuałem. Ze względu na obostrzenia pracuję zdalnie, mniej jest wyjazdów w teren. Prawie codziennie rano, jak nigdy dotąd od kilkadziesiątu lat, mogłam zostać w domu. Robiłam sobie kawę z kardamonem, świeżo mielonym, jak mi

kiedyś w Wiedniu radziła Ewa Lipska, i siadałam, czekając aż przyjdzie wiersz. Zapisuję teksty w telefonie, a więc domownicy pewnie myśleli, że z kimś koresponduję bądź serfuję w necie. Czasem nie musiałam wcale czekać i wiersze były natychmiastowym zapisem tego z czym się budziłam. Nieraz chciałam nimi coś krótko i treściwie opowiedzieć komuś konkretnemu, dać znać czym teraz żyję. Innym razem zapisywałam jakiś fragment i wracałam do niego po kilku dniach odkrywając, jak trafionym był punktem wyjścia. Jeszcze innym razem wiersz powstawał podczas spaceru polami za domem. Łatwo wyjąć komórkę i zapisać kilka słów jak jakiś esemes do siebie samej.

To samo zdarzało mi się podczas wakacyjnych wyjazdów w Bieszczady i do Pólkot nad jezioro Berżnik koło Sejna. A także w chwilach trudnych kiedy ciężko zachorowali moja ciocia Gabi i wujek Jan, którym wtedy towarzyszyłam. Czasem przy ich łóżku szybko, bez większego namysłu, notowałam swoje emocje, niepokój i bezradność, które nie znajdowały innego ujścia. Każde miejsce jest dobre do pisania i trzeba z niego korzystać, bo inaczej szansa zostanie stracona. Teraz rozmawiam z Tobą na odległość, ale zdradzę, że jestem w wyjątkowym miejscu - klasztorze sióstr klarysek w Kętach. Za ścianą tego pokoju od 111 lat trwa wieczysta, nieprzerwana adoracja Najświętszego Sakramentu. W tym samym miejscu, w monstrancji ustawionej w gotyckim ołtarzu w niedużej kaplicy, w której czuję, że jest aż

gęsto od obecności Niewidzialnego. Pewnie te lata modlitw dziękczynnych, bo siostry podkreślają, że to adoracja dziękczynna, sprawiły, że przywoływany i wielbiony Bóg daje odczuć przebywającym, że prawie namacalnie jest. Dobrze by było skorzystać z tego *genius loci* i coś tutaj napisać. Pamiętam jak Czesław Miłosz pokazał mi swoje słynne kajety, które miał zawsze gdzieś blisko i zapisywał w nich to, co do niego przychodziło nawet w środku nocy, świadomy, że natchnienie nie wróci.

Czy pisanie było dla Ciebie terapią w tym trudnym okresie?

Jeśli tak na to patrzeć, każde pisanie jest pewnie terapią, bo oczyszcza z emocji i porządkuje je. Słowa, które znajdowałam, były dla mnie jakąś kotwicą, umocowaniem w czymś pewnym, czym niewątpliwie jest dla mnie literatura. To z niej, jak z wiary, czerpię siłę do życia, bo w dobrej literaturze można znaleźć podpowiedzi jak znaleźć jego sens. Mam nadzieję, że w moich wierszach też ktoś znajdzie coś dla siebie, jakąś nadzieję, bo o nią przecież chodzi.

Jesteś autorką ponad 20 tomików wierszy, które opowiadają nie tylko o Tobie, ale i o czasie, w którym przyszło nam żyć. Jako niezwykle wrażliwa poetka, wyłapujesz z rzeczywistości skrawki uczuć i przeżyć, aby z niuansów zbudować pomost pomiędzy „ja” lirycznym a

otaczającym światem. Jak pisze wiersze dziennikarka?

Dziennikarz jest nieustannie nastawiony na innych, słuchający z uwagą i oddaniem. Pisanie wierszy, jak mówił Czesław Miłosz, to egotystyczne zapatrzenie w siebie, a dziennikarstwo jest zwróceniem się w stronę drugiego. Ale nie jest tak do końca, bo kiedy przyglądam się uważnie tropom moich dziennikarskich pytań i dociekań, widzę, że wynikają one z mojej egoistycznej pobudki jaką jest chęć znalezienia odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Dziennikarstwo i pisanie wierszy można porównać do zapewniającego niezbędną równowagę stania na dwóch nogach. Ta jedna, dotykająca mocno ziemi, umożliwia mi kontakt z rzeczywistością i owocuje reportażami i wywiadami. Druga, zatrzymana gdzieś w powietrzu, próbująca unieść mnie do góry, obrazuje stan w jakim czasem się znajduję podczas pisania wierszy próbując przekroczyć granicę między tym, co rzeczywiste, a tym, co nierealne.

Czym jest dla Ciebie poezja?

O to pytałam tysiąc razy moich wybitnych rozmówców – poetów. Agnieszka Osiecka powiedziała, że moment powstania wiersza to strzał pistoletem w tył głowy. Ksiądz Janusz Stanisław Pasierb podobnie twierdził, że zapisanie wiersza jest możliwe kiedy poeta zgromadzi w sobie emocje, tak jak proch w lufie pistoletu, a sam zapis to chwila jego zagęszczenia, a potem wybuchu – po

niemiecku – dichtung. „Mój poeta” bo tak nazywałam Czesława Miłosza, mówił o dajmonionie, który szepce do ucha to, co w tej chwili jest najważniejsze. Bardzo podobało mi się to, co powiedział o pisaniu rosyjski poeta Jewgienij Riejn. Że to moment, kiedy kości zostały rzucone. Dla mnie pisanie wierszy jest okazją do zdziwienia tym, co mnie jeszcze zachwyca, a na szczęście – wciąż to się dzieje. Do zmierzenia się z przeczuciem co mnie tworzy poza ciałem, włosami i przeczuwaną, nigdy nie dającą się uchwycić duszą. Pisanie wierszy, to próba uchwycenia co z tego świata zewnętrznego zostaje w nas, a jednocześnie usilne poszukiwanie pociechy. Jak powiedziała mi kiedyś poetka Ewa Lipska: „Wierszyk jest poduszczką, do której można się przytulić po okropnościach świata”. Pisanie przydaje się do zatrzymania, we wcale nie takich kruchych słowach, kruchych ludzi i wspomnień o nich, które czytelnicy, biorą potem za swoje. I takie spotkania są największym szczęściem piszącego.

Z doświadczenia wiem, że każdy rozmówca, z którym przeprowadzam wywiad, coś mi zostawiał, jakąś ważną życiową myśl, kierunek, w którym należy podążać, na coś mnie uwrażliwiał. Ty napisałaś biografie Czesława Miłosza, Wojciecha Kilara, czy też z wywiad rzekę z Krzysztofem i Elżbieta Zanussimi. Książki te powstały z przyjaźni, z wieloletnich kontaktów, byłaś ze swoimi bohaterami blisko. Czego się od nich nauczyłaś?

Zmarły kilka dni temu wybitny 92-letni lekarz prof. Franciszek Kokot, będący legendą polskiej medycyny, uczył, że trzeba szukać mistrzów. Bardzo mi się to spodobało, bo jestem tego samego zdania, wręcz całe życie poszukiwałam ludzi, którzy wiedzą więcej. Moje wywiady, książki wzięły się z zachwytu naukami moich nauczycieli życia. Właściwie każdy bohater mojej rozmowy jest kimś takim. Wspomniani przez Ciebie artyści wiele mi dali. Do pana Wojciecha Kilara chodziłam się nawracać i odzyskiwać spokój wewnętrzny, bo, pewnie ze względu na wielką wiarę, emanował nim.

Czesław Miłosz nauczył mnie, że bez względu na warunki i niedogodności życiowe, brak uznania dla twórczości i związane z tym poczucie osamotnienia, trzeba robić to, co jest naszym imperatywem. Jak on, kiedy przez 30 lat w Berkeley pisał do szuflady czy raczej dziupli starego dębu, mając niewielkie grono czytelników. Takie podejście do własnego dzieła ma sens, bo, jak mówił, dzięki konsekwentnej i nie rozpraszananej aplauzem pracy, nasze pisanie nabierze głębi, będzie takie, jakim w tzw. sprzyjających okolicznościach nie mogło by się stać. – *Czy gdybym powiedział, żeby pani przestała pisać, posłuchałaby mnie pani?* – zapytał kiedyś. Opowiedziałam zdecydowanie, że nie. Ucieszył się: – *Tak powinno być, tylko takie podejście ma sens.*

Elżbieta Zanussi nauczyła mnie bezkompromisowości w mówieniu o wierze i prawdzie, jaką jest w jej życiu Jezus

Chrystus. Od jej męża Krzysztofa otrzymałam potwierdzenie jak ważna w przyjaźni jest wierność. Właściwie mogłabym jeszcze wiele tych nauk przypomnieć, bo wiedza jaką otrzymałam podczas rozmów jest ogromna. Co jednak nie znaczy, że z niej stale i umiejętnie korzystam...

Od 30 lat pracujesz w tygodniku „Gość Niedzielny”, tam piszesz o ludziach, którzy żyją w zgodzie ze sobą i swoim sumieniem, poświęcają się dla bliskich, czy dla jakiejś idei. Tak pięknie piszesz o tych często prostych ludziach, a tak wielkich i heroicznym w swoich codziennych życiowych postawach. Którą spośród ludzkich historii szczególnie zapamiętałaś?

Za każdym razem jestem pod wielkim wrażeniem moich bohaterów. Gdyby się zastanowić, to bardzo wielu ludzi nie wywołanych do opowiadania, prowadzi takie piękne życie jak oni. Kilka dni temu byłam w Zakopanem u pana Kazimierza Gąsiennicy-Byrcyna, przez lata zawodowego, a dzisiaj honorowego ratownika tatrzańskiego, który zniósł z gór ponad tysiąc ludzi. Uratował im życie, a nie czuje się bohaterem, tylko przypomina, że ratownikiem zostaje się z wyboru, z pełną świadomością, że będzie się narażał życie. Z tych wielu dziennikarskich spotkań wracam do odwiedzin w domu pani Teresy Wojnar, która przez 24 godziny na dobę zajmuje się z oddaniem swoim niepełnosprawnym synkiem Jasiem. Kiedy

pierwszy raz weszliśmy do pokoju chorego Jasia z fotoreporterem Heńkiem, mieliśmy wrażenie, że powinniśmy tam klęknąć jak przed Najświętszym Sakramentem. Miłość jego mamy sprowadza Pana Boga na ziemię.

Jeździsz też za granicę, przeprowadzasz wywiady z wieloma ciekawymi ludźmi. Duże wrażenie zrobił na mnie Twój artykuł o szwedzkim nobliście z dziedziny literatury Tomasie Tranströmerze i rozmowa z jego żoną Moniką. Paraliż przeszkodził mu w pisaniu, ale nie zabrał nadziei i szczęścia. Na takich postawach powinniśmy się wzorować i wierzyć, że każda sytuacja jest po coś, czegoś nas uczy o nas samych. Czy też tak uważasz?

Oczywiście. Wizyta u państwa Tranströmerów, po śmierci poety, była dla mnie doświadczeniem ich ogromnej miłości. Przytoczę pierwszą część wiersza, który powstał na marginesie spotkania, a, mam nadzieję, wyraża kwintesencję tego co czułam:

1. teraz wiem że w Sztokholmie byłam
w jeszcze jednym kościele na piętrze
trzecim do trzech razy sztuka

żeby poznać prawdę co czym jest
za którymi drzwiami otwierają się następne
prowadzące do pokoju poety
w którym siedział nie mogąc się poruszać
razem ze swoją żoną Monicą wtedy była ich jednym
chodzącym podającym kochającym ciałem
dzisiaj podaje mi prawdę o tamtych dniach
drżącymi ustami nadal ma piękną twarz
którą musiał podziwiać nawet w nocy
bo noce odkrywają każdy ukryty blask
którego w słońcu nie widać nadal go kocha
po przejściu z nim milion razy tego pokoju
i teraz kiedy go brakło chodzi w jego stronę

po literach jego wierszy słodkim morzu

łaskoczącym brzeg ich domu

jak modlitwy progi kościołów

Jaki był dla Ciebie miniony rok, kiedy przyszło nam żyć w zamknięciu? Czy czegoś nowego się o sobie dowiedziałaś?

Że człowiek wiele przetrzyma... Po raz kolejny cieszyłam się jak to dobrze, że umiem pisać i czytać, bo dla tych, którzy to praktykują, zmiany w świecie zewnętrznym nie przynoszą drastycznych zmian we wnętrzu. Takie metamorfozy gwarantuje im raczej dobra lektura albo nagle przychodzący tekst.

Dowiedziałam się też jak przepadam za moimi przyjaciółmi, znajomymi, jak bardzo kocham się z nimi spotykać...

O czym marzysz, co chciałabyś zrealizować w tym roku?

Marzę, żeby wybrać się w podróż z moimi przyjaciółmi. Polecieć z nimi na Marsa, no, może na księżyc... A tak na serio - po prostu pójść do knajpki na rynku w mojej Czeladzi, albo w Katowicach i gadać, a może - tańczyć - całą noc.

Zobacz też:

„Mój cukiereczek” - nowy tomik wierszy Barbary Gruszki-Zych

„Mój cukiereczek”. Kilka słów o najnowszym tomiku Barbary Gruszki-Zych.

„Mój cukiereczek” -
nowy tomik wierszy

Barbary Gruszki-Zych



Barbara Gruszka-Zych, fot. Krzysztof Palewicz

Barbara Gruszka-Zych – poetka, od ponad 30 lat dziennikarka „Gościa Niedzielnego”, pisarka. Wydała ponad dwadzieścia tomików wierszy. Ostatnio „Nie chciałam ci tego mówić” (2019). Jej zbiorek „Szara jak wróbel” (2012), wybitny krytyk Tomasz Burek umieścił wśród dziesięciu najważniejszych książek, które ukazały się w Polsce po 1989 roku. Opublikowała też zbiory reportaży „Mało obstawiony święty. Cztery reportaże z Bratem

Albertem w tle”, „Zapisz jako...” oraz książki wspomnieniowe: „Mój poeta” o Czesławie Miłoszu, „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara”, a także wywiad-rzekę „Życie rodzinne Zanusich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem”. Laureatka wielu prestiżowych nagród za wywiady i reportaże, m.in. nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w dziedzinie kultury im. M. Łukasiewicza (2012) za rozmowę z Wojciechem Kilarem. Wybory jej wierszy zostały wydane po litewsku i rosyjsku w Kownie, Wilnie, Petersburgu. Była stypendystką wiedeńskiej fundacji Janineum (2002), Fundacji Jana Pawła II w Rzymie (2003), Fundacji „Heinrich & Jane Ledig-Rowohlt” w Lavigny w Szwajcarii (2014). W grudniu wychodzi jej najnowszy tomik p.t. „Mój cukiereczek”, wydany przez wydawnictwo Ursines. Oto kilka wierszy z tego tomiku.

prognozy

zobaczyłam twoją twarz po długim niewidzeniu

gdy wysycha woda ze wspomnieniami

i nic się nie dzieje czy nic się nie dzieje

kiedy wszystkie milczące miejsca na lądzie

który wynurzył się między nami zajęły
cudze ptaki i słowa które karmimy ty i ja osobno
kiedy znowu zobaczyłam twoją twarz
wróciły do mnie najlepsze krajobrazy naszego świata
bo niewątpliwie da się go rozpoznać
po twoim nosie oczach i czole trochę zmienionym
przez ciemne chmury ale na szczęście
zapowiadano szybką poprawę pogody

jakiś ptak za oknem
zrywa się do lotu
a już coś w nas śpiewa

- *Stanisławowi Jasionowiczowi*

odnajdywaliśmy się na tej ulicy

dopóki można było po niej chodzić

nie bojąc się ludzi trwało życie nietrwałe

a teraz w pokoju albo dwóch

może nawet w całym wielkim domu

wielkim jak strach co ma duże okna

odmierzamy krokami

centymetr po centymetrze życie

żadnej miary nie da się przyłożyć

do tych nocy i dni dni i nocy

przechodzonych w oczekiwaniu

aż ulica wróci i wyprowadzi nas stąd

Ciocia

święte obrazki jeszcze niedawno

wieszała na ścianach

teraz patrzą na nią z góry

a ona w dole w dołeczku prześcieradła

górką ludzkiego ciała skóra kości duże piersi

włosy głaskane grzebykiem

i tam na dole resztki wstydu

przykryte wynędzniałą szarżyzną

wszystko się rozsypuje odpada w inną stronę

można to zebrać w poszwę

i nieść na mocnych plecach

pod górę do świętych z obrazków

błagać o zmiłowanie Pańskie

o pobranie szarego wymazu prochu

z umęczonego gardła

zanim głos z niego sam zatłucze

do Jego okien jak ptak

wałący głową zamiast śpiewać

na psim polu

- *Marianowi K.*

w gęstwinie liście świeże małe

już za chwilę zielone jak skrzydła

wykluwają się nawet w nocy

żeby frunąć zamiast słów

a ty dziewczynko rozdmuchana w popiół

ze zdartym strupem z małego kolana

na bezgwiezdnym niebie
między łukami słońca i księżyca
jak w tragedii antycznej
na psim polu grzebiesz nadzieje
w świat w który wierzyłaś

w tamtych dniach bez odpowiedzi
kominy dymiły czarne kolumny
w obrzędku oświęcimskim
wznoszące się od iskry
w oczach palonych jak cenne papiery
z których wynikało że człowiek
nie istniał



Barbara Gruszka-Zych, fot. Krzysztof Palewicz

na moście w Rzymie stałam

jak pięknie wiatr rozwiewa włosy

na starych mostach łączących

wyspę z lądem cierpliwie

zezwalających deptać po sobie

swoim i przybyszom tysiącami

podeszw bardziej lub mniej wytartych

przez cierpliwych wiernych

w przemierzaniu ziemi

mosty dobre miejsce spotkań

dla wydobytych spod lawiny wieków

i dzisiaj urodzonych próbujących zrozumieć

jak się przechodzi z roku w rok

z sekundy w sekundę

przez wąską kładkę czasu

który jak woda pod mostem

uzdrowicielka pamięci pokazuje nam
wiecznie nową twarz nad którą
płyną moje rozwiane włosy

drobne

- Maksymilianowi

to są te drobne
często niewydawane
bo wygodniej było zaokrąglić
och to okrągłe życie z ukrytymi kantami
a teraz okazuje się że cały majątek
w drobiazgach przerzucanych
na dno pod podszewkę
pocałunek kiedy widzisz wszystko lepiej

choć masz zamknięte oczy

pieczony ciemny chleb z czosnkiem

i piwo na pokładzie kawiarni

w północnym mieście

z południowym akcentem miłości

noc kiedy nasłuchiwałeś mojego oddechu

i rano powiedziałeś mi o tym z troską

bo był prawie niesłyszalny

a ty chciałeś mnie uratować

zresztą dotąd to robi każda myśl o tobie

rozmowa z małym chłopcem

który współczuje mi

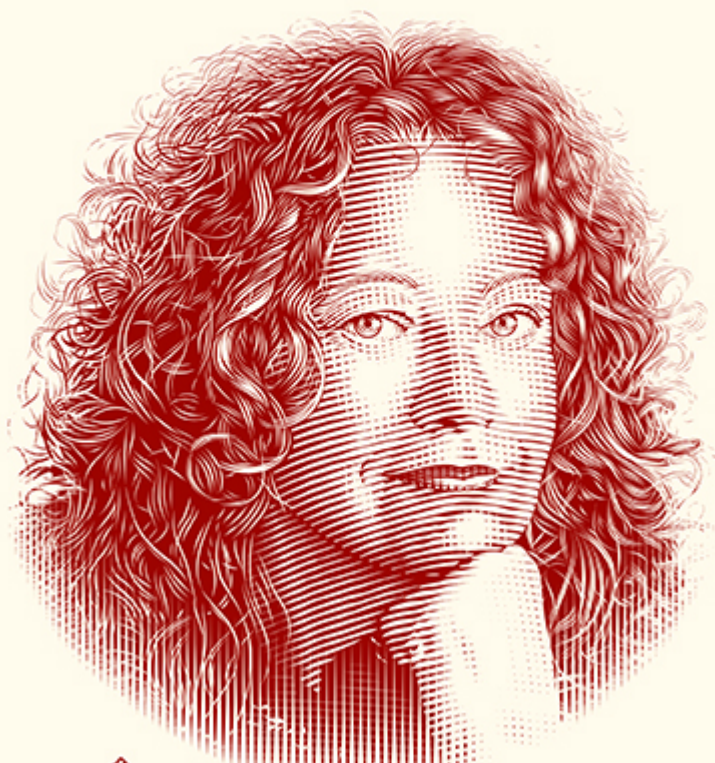
że się przewróciłam

i w tej chwili nie potrafi nic innego
zamieniając we współczucie cały świat
teraz te znalezione drobne błyszczą
pozwalając mi przetrwać
kiedy przyszła bieda
i coraz częściej wyciągam rękę
po prośbie

Jeden czytelnik siedzący na drugim krańcu świata w pokoju bez widoku może wskazać najlepszą drogę do twojego pisania. Jeden Bóg Wszechmogący wie ile dróg przebiega między nami. Ich meandry są niewidoczne dla oczu jak trajektorie planet i uczuć. Wiedzą to zwłaszcza ci, którzy mieszkają w domach ze ślepyimi oknami, bez śladu gwiazd ale ze śladem szczęścia na dnie duszy. Wysłane przed wieloma laty promienie Jupitera, Syriusza, Plejad pasują tylko do niektórych zamków od kluczy. Rzucają z nieba na ziemię cień tajemnicy wolno otwierający drzwi.



BARBARA GRUSZKA-ZYCH



MÓJ CUKIERECZEK

Zobacz też inne teksty Barbary Gruszki-Zych:

„Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” Barbary Gruszki-Zych

Ojciec był poetą katolickim

Czesław Miłosz jakiego będę pamiętać

Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara.

Nieobecni są najbliżej

„Mój cukiereczek”.

Kilka słów

o najnowszym tomiku Barbary Gruszk- Zych.



Barbara Gruszka-Zych, fot. arch. domowe

Stanisław Jasionowicz (*Polska*)

Jakie działania podjąć dziś, by **przetrwać**? Zakryć swoją prawdziwą twarz, ukryć się za ekranem, zwiększyć nieufność wobec innych, szczerzej odizolować się od namacalnego świata? Czy wystarczy to jednak, by **ocalić siebie**? Barbara Gruszka-Zych zadaje nam te jakże aktualne pytania w sobie właściwy sposób: współczesnym językiem poetyckim.

Najnowszy tomik Barbary Gruszki-Zych nie zaskoczy czytelników jej wcześniejszych zbiorów. Odnajdą w nim bliskie jej od zawsze tematy i treści: są tu wiersze „szpitalne”, „podróżne”, „domowo-rodzinne”, „miłosne”, „sakralne” oraz pojawiające się w kilku jej poprzednich zbiorach znaki rozpoznawcze i *lejtmotywy*, jak choćby „ubranie z *second handu*”. Miłośnik wierszy Barbary Gruszki-Zych odniesie wrażenie, że powierzono mu kolejny rozdział jej poetyckiego dziennika intymnego, pisanego bez cienia egotycznego „zadęcia”. Stosowaną przez nią technikę swoistego poetyckiego reportażu o samej sobie można by określić mianem odcinka wielkiego wywiadu-rzeki, prowadzonego z życzliwą, ale i dociekliwą atencją. Warto przypomnieć, że Barbara Gruszka-Zych jest autorką wielu reportaży na temat znanych postaci świata kultury i innych interesujących osób, a także książek-wywiadów z Wojciechem Kilarem czy małżeństwem Zanussich.

W nowym tomie poetka raczy nas raz po raz znakomitymi, aforystycznymi w formie, krótkimi wierszami lub fragmentami poetyckiej prozy przypominającymi, że poezja jest sztuką kondensacji: (***) *dwie ławeczki unosi woda/nas zdmuchnął z nich wiatr/tylko trzcina trzyma w pionie/nadłamany świat*. Także w dłuższych wierszach stosuje zasadę mocnej puenty – „przesłań”, przypominających *les envois* średniowiecznych ballad czy muzyczne kody.

Zgodnie z deklaracją poetki, opublikowane w tym zbiorze wiersze powstały wiosną 2020 roku, a więc w czasie naznaczonym pojawieniem się niespodziewanych zmian w stylu życia, związanych z ogłoszeniem w Polsce i na świecie stanu pandemii. Nawiązania do tej sytuacji są jednak dyskretne, jak niezatytułowana proza poetycka ze strony 72:

Światło się pali w tylu oknach nocą. Ogniska nie zgaszone przez tysiące lat. Podłogi i sufity odbijają blask tęsknoty przepływającej przez oczy i ekrany telefonów. [...] Głód budzi ich w biały dzień [...]. Głód, z którym zaczynają grać [...]. Chcą czy nie, przegrają z nim [...]. Błękitne twarze samsungów i maców pozwalają na wszystko, dopóki nie porażą ich zimnym piorunem nieobecności.

W tym zmediatyzowanym świecie nienasycenie to głód, który nie

jest poszukiwaniem prawdy (mimo poczucia dostępu do nieskończonych niemalże pokładów wiedzy) lub choćby chęcią stworzenia trwałej relacji z innym człowiekiem, lecz który polega coraz częściej na przepuszczaniu przez „pragnący umysł” wciąż nowych fejsbukowych zdjęć jedzonej właśnie przez kogoś potrawy, memów, tweetów, instagramowych migawek, youtubowych filmików o kotach i tsunami „odruchowego” hejtu. Jak w rozsypującym się bez końca kalejdoskopie, kiedy wyobraźnia nie sięga już do ery „przed”, a tym bardziej – „po” internecie.

Podobny, anytcypacyjny (żeby nie powiedzieć: proroczy) ton wybrzmiewa z mocą w końcówce wiersza „Polska” (s. 73): *opluć więc można tę Polskę od a do z/od najczulszego Norwida/do bajki – kto ty jesteś Polak mały -/a potem z suchymi ustami/poprosić o szklankę wody*. Ta dramatyczna, a zarazem bezwzględna fraza zdaje się zawierać kilka ważnych pytań, jak to: czy poczucie wspólnoty nie zaczyna się od najbardziej podstawowych gestów – troski o najbliższych, wzajemnego wspierania się ludzi na trudnej drodze życia? Poetka pyta ponadto: „człowieku, kto poda ci przysłowiową (i realną!) szklankę wody, jeżeli wzgardziłeś wspólnotą w czasie, gdy odwaga staniała, kiedy tak łatwo jest gardzić, a coraz trudniej kochać”? „Polska” to wiersz skromny, nie uderzający w patetyczne tony i nie odwołujący się do jakichkolwiek wątków aktualnej politycznej debaty. Jego najgłębszym źródłem zdaje się być „sprawa smaku” („tak,

smaku”, jak w pamiętnym wierszu Zbigniewa Herberta, pisanym w zupełnie innych – jak mogłoby się wydawać – czasach).

Podejmując z kolei motyw *memento mori*, pojawiający się w zbiorze niejednokrotnie, poetka nie „przegapia” żadnego z trudnych momentów istnienia – nierzadko oznaczającego zagrożenie własnego życia lub towarzyszenie w chorobie i odchodzeniu bliskich jej osób – by uczynić z niego kolejną lekcję *artis bene moriendi*. Należący do tej grupy utworów wiersz „Ciocia” jest przykładem zastosowania przez autorkę swoistej poetyckiej hermeneutyki ludzkiego losu, kiedy to „zaangażowane rozumienie” innego człowieka pozwala lepiej zrozumieć samego siebie. Wiersz ten należy do wybitnych osiągnięć Barbary Gruszki-Zych i choć chciałoby się zatrzymać na dłużej nad każdym elementem jej poetyckiego rzemiosła, można odnieść wrażenie, że n i e w y p a d a wyrywać z tego utworu poszczególnych fraz, lecz trzeba go po prostu, po raz kolejny – przeczytać.

Barbara-Gruszka nie byłaby sobą, gdyby nie skorzystała także i w tym zbiorze z kodu poezji miłosnej (także erotycznej), aby wyrazić nostalgię, która stanowi swoistą jedność z doświadczeniem pragnienia harmonii i pełni (np. świetny wiersz „z drewna”). Jak przystało na nowoczesną poetkę, także w wierszach z tej grupy autorka eksploruje sensotwórcze pokłady języka, wykorzystując zawsze lubiane przez siebie gry słów,

kalambury, tym razem używając ich w sposób wyjątkowo oszczędny i – może dzięki temu – wyjątkowo skuteczny (zob. wiersz „kogo”, s. 30).

Tyle chciałoby się jeszcze napisać o tej intrygującej poetce oraz o jej tylko „zasygnalizowanym” tu zbiorze. Choćby o wierszach „fragment”, „na tę chwilę” czy „to miejsce kawałek wybrzeża”... No właśnie, mógłbym na tym zakończyć, ale wciąż nie wiemy przecież, skąd ten intrygujący, tytułowy „cukiereczek”? Może warto przytoczyć więc *in extenso* wiersz, w którym pojawia się rzeczona fraza:

cały ten świat co pozostał

i ten co zginął

w połowie obecne

powtarzający się smak

owoców i zdarzeń

gorzki smak życia

a w krótkich chwilach

ty mój cukiereczek

K i m jest ów tajemniczy „słodki”: „krótkim przebłyskiem słońka”, „lekiem na całe zło”, a może po prostu „niezłym ciachem”? Czy należy o nim pisać z małej, czy z dużej litery? Czy... ?

„Mój cukiereczek” Barbary Gruszki-Zych to znakomity zbiór wzajemnie uzupełniających się i komentujących utworów: precyzyjnie zakomponowany, pełen wyobrażeniowych, intelektualnych i duchowych niespodzianek. Jego uważna, nieuprzedzona lektura jest jak przyjęcie wspierającego gestu innego człowieka: pozwala zachować nadzieję.

Zobacz też:

„Mój cukiereczek” - nowy tomik wierszy Barbary Gruszki-Zych

„Życie rodzinne
Zanussich. Rozmowy
z Elżbietą
i Krzysztofem”
Barbary Gruszki-Zych



Od lewej: Elżbieta Grocholska-Zanussi, Krzysztof Zanussi i Barbara Gruszka-Zych, fot. Witold Modrzejewski.

„Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” Barbary Gruszki-Zych, to pierwsza książka pokazująca dotąd mało znane życie prywatne Krzysztofa Zanussiego i jego żony Elżbiety. Tę sferę wybitny reżyser przez lata otaczał dyskrecją. Jego legendarna powściągliwość i arystokratyczny dystans sprawiają, że jest osobowością nie dającą się zamknąć w żadnym schemacie. Książka Gruszki-Zych pozwala jednak dotknąć tajemnicy Zanussiego, którą w dużym stopniu pomaga odkryć jego żona Elżbieta. Oboje są artystami, ale o malarstwie Elżbiety, wywodzącej się z arystokratycznej rodziny Grocholskich i Czetwertyńskich, jest mniej głośno. Dała mężowi pierwszeństwo, uznając, że to on ma większy talent i możliwości oddziaływania,

bo jego dzieła filmowe mogą „dotknąć czyjejś duszy” bardziej niż jej obrazy. Rzeczywiście, bez jego filmów, takich jak „Imperatyw”, „Barwy ochronne”, „Cwał”, „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową” nie można sobie wyobrazić polskiego ani europejskiego kina. Znakomity reżyser jeszcze nigdy nie dopuścił w rozmowie tak blisko nikogo ze swoich rozmówców. Na skrócenie dystansu wpłynął fakt, że prowadząca ją Barbara Gruszka-Zych przyjaźni się z nim i jego żoną od ponad dwudziestu lat, co, naturalnie, narzuca inną perspektywę. Autorka jest dziennikarką, ale też poetką, czemu daje wyraz w tej rozmowie-rzece. Kilka lat temu opisała przyjaciela Zanussiego – wybitnego kompozytora Wojciecha Kilara w cieszącej się zainteresowaniem książce „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara”. Tytuł „Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” tym bardziej zasługuje na uwagę, że w tym roku reżyser świętuje swoje 80 urodziny.

Książka jest dostępna w księgarniach od 8 maja. Można ją nabyć wchodząc na landingpage: zanussi.dzialaniawizualne.pl



Elżbieta Grocholska-Zanussi, Krzysztof Zanussi i Barbara Gruszka-Zych, fot. Wydawnictwo Działania wizualne

O uczuciach

Elżbieta Grocholska-Zanussi: Prawdę powiedziawszy można by się w życiu zakochać ze sto pięćdziesiąt razy i próbować, czy z danym partnerem lepiej się przeżyje kolejnych kilka lat, ale to jest założenie zupełnie idiotyczne, bo wtedy następuje kolosalny rozkład życia.

Krzysztof Zanussi: Pamiętam kluczową dla tego tematu

rozmowę, jaką odbyłem w telewizji rosyjskiej. To były lata dziewięćdziesiąte, miałem wtedy dopiero sześćdziesiąt lat. Prowadząca ją panienka pełna dobrych chęci z naiwnością zapytała mnie: „Dlaczego ma pan tylko jedną żonę? Przecież jest pan znany, jest pan bogaty i zna pan piękne kobiety. Mógłby mieć pan takie urozmaicone życie. Nie ma pan na to czasu czy może to pana nie interesuje?”. Mój kłopot polegał na tym, że najpierw musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie: „Co ja teraz chcę przekazać milionom oglądających ten program, którzy tak samo jak ta dziennikarka nic z mojego świata nie rozumieją?”. Powiedziałem jej wtedy o grze „Monopoly” i do dziś uważam, że to był wynik interwencji Ducha Świętego. Oni się wtedy w Rosji bardzo pasjonowali tą kapitalistyczną grą. Jej uczestnicy zdobywają punkty, a zwycięża ten, kto zgromadził ich więcej. Stwierdziłem przed kamerami: „Myśmy z żoną zdobyli bardzo dużo punktów. Jakby trzeba było to wszystko skasować do zera i z nową partnerką musiałbym zaczynać od nowa, to byłaby ogromna strata, bo już nigdy tylu punktów nie zdobędę”. Po latach wspólnego życia bez obaw mogę postawić tezę, że miłość to ciężka praca, a nie jakiś powiew namiętności. W kwestii namiętności mamy spore doświadczenie, obserwując zachowania naszych psów.

E.G.-Z.: Miłość to stały rozwój, który się osiąga ciężkim wysiłkiem. Gdyby z niego zrezygnować, trzeba by za każdym razem biec za kimś, jak to robią nasze psy, kiedy budzi się ich

instynkt.

K.Z.: To odniesienie wymyśliliśmy wspólnie i ono nie jest bez sensu. Moja żona na co dzień przygląda się psom, a ja nieraz miałem możliwość obserwowania zachowań zakochanych koni. To, co się wtedy z nimi dzieje, zadziwia. Z tym, że ich wzajemne zainteresowanie jest intensywne, ale trwa niezwykle krótko. Jeśli widzę, że zakochani okazują sobie miłość tylko przez „wzdychulce”, jak je na nasz użytek z Bietką nazwaliśmy, to, na miłość Boską, mnie to nie wzrusza. Wyjątkowo nie znoszę tych pełnych emocji porywów, przewracania śliskimi oczami, dawania do zrozumienia, że coś się w człowieku zagotowało. Namiętność nie jest tak zupełnie błaha. Myślę, że fakt, żeśmy się zeszli już jako starsi ludzie, też wpływa na to, jak ją postrzegamy. Wiek troszkę ją sublimuje, ale za to relacje robią się głębsze. Po moich studentach widzę, jak inaczej przeżywa uczucia pokolenie, które nie wyrosło na miłości płomiennej, wywodzącej się z tradycji romantycznej. Młodzi stawiają sobie pragmatyczne pytania: „Dlaczego kogoś kocham i co ten ktoś może mi zaoferować?”. (...) Dzisiaj ludzie całkowicie zapominają, że człowiek jest władny powodować sobą. Twierdzenie, że każdy z nas jest skazany na występne postępowanie, jeśli okoliczności go do tego zmuszą, to błąd. Wielu uważa, że kiedy spotyka kogoś atrakcyjnego, to natychmiast musi z nim zdradzić współmałżonka. Podobnie, kiedy spostrzega, że coś smacznego leży na stole, to zaraz po to sięga. Człowiek jest wolny i w każdej chwili podejmuje wybór,

który jest albo dobry, albo zły.

E.G.-Z.: Gdybym w pewnej chwili się zorientowała, że dla mnie ważny jest jakiś inny mężczyzna wtedy natychmiast powiedziałabym Krzysztofowi, żebyśmy wspólnie spędzali więcej czasu, troskliwiej zajmowali się sobą, bo znalazłam się w niebezpieczeństwie. Nie musiałabym od razu z tym drugim iść do łóżka, a jednak czułabym, że trzeba interweniować... Nie znoszę mówienia o seksie, bo to jest tak prymitywne. Miłość to przede wszystkim straszliwy pociąg, którego bardzo ciężko się pozbyć. Trudno zachować takie relacje jak święty Franciszek i święta Klara. Myślę, że oni przeżyli coś niewiarygodnego, ale na poziomie metafizyki, a nie fizyczności. Wzajemne pożądanie przebywania ze sobą sprawiło, że Klara wstąpiła do założonego przez Franciszka zakonu. Pewnie musiała mu tłumaczyć: „Bracia będą się z ciebie śmiać, no to ja zakładam drugi klasztor, a ty będziesz mi pomagał, żeby był równie dobry jak twój”. Mam przekonanie, że straszliwe pożądanie doprowadziło ich do wspólnego odkrycia miłości Boga, która okazała się dużo mocniejsza.



Elżbieta Grocholska-Zanussi, fot. arch. K. i E. Zanussich.

Miłość młodzięcza

K.Z.: (...) Niedawno zmarła osoba, z którą w młodości byłem bardzo blisko, w której byłem bardzo zakochany. Dużo by o tym opowiadać, ale od tamtej pory zostało mi przekonanie, że warto swoje emocje hamować na wszystkich szczeblach. Do dzisiaj trwa we mnie takie zapętlenie uczuć w sobie.

E.G.-Z.: W skrócie trzeba by powiedzieć, że miłością Krzysztofa

z młodzińczych lat...

K.Z.: ...nie miłością, ale pasją... Ja całą jej złą stronę widziałem od początku, a mimo to z nią byłem.

E.G.-Z.: Pasją? A co to jest pasja?

K.Z.: Coś jak namiętność...

E.G.-Z.: No więc Krzysztof ogromnie zainteresował się osobą niesamowicie zdolną pisarsko, drukującą w pismach, przebojową...

K.Z.: ...postawioną dużo wyżej ode mnie w hierarchii światka artystycznego. Monika była wtedy w centrum salonu literackiego. Dziś oglądalibyśmy ją na pierwszych stronach kolorowych magazynów.

E.G.-Z.: Ja nie miałam z tym światem nic wspólnego.

Ale ta osoba wyszła za innego pana...

K.Z.: ...mojego przyjaciela zresztą.

E.G.-Z.: Zajął się nią, korzystając z nieobecności Krzysztofa w Polsce.

K.Z.: Nie, Bietko, przede wszystkim skorzystał z mojego niezdecydowania. Nie wykazywałem żadnej konkretnej inicjatywy.

E.G.-Z.: Krótco po jej ślubie odezwała się straszliwa, niszcząca dalsze życie choroba.

K.Z.: Ta choroba była motorem mojej fascynacji nią. Schizofrenia ma postać tak urzekającą, że można dać się jej uwieść. Czytam o tym, słyszę i widzę to u wielu innych osób. Mają momenty, kiedy posiadają jakąś zupełnie uwodzicielską siłę, prawie magiczną moc zaklinania świata. Z tym, że choroba Moniki wybuchła później, nie wtedy, kiedy się znaliśmy. To moje krycie emocji wzięło się z tamtych czasów a poza tym jestem przekonany, że uczucia trzeba ukrywać, żeby je dobrze pokazać, bo bez tego nie mają formy. Kiedy ją tracę, tracę też wiarygodność. Muszę przyznać, że jestem bardzo wrażliwy na fałszywość uczuć. Źle to znoszę i budzi to we mnie wielki wstręt. Wiem też, jak łatwo nimi manipulować. Często bohaterowie moich filmów manipulują innymi. Ci, żywiący prawdziwe uczucia, są wodzeni za nos przez tych, którzy je udają, zwodząc ich. Tego się zawsze w życiu bałem. Może moje wyczulenie wzięło się właśnie z tamtych czasów? Zresztą to dotyczy spraw nie tylko osobistych, ale również uwiedzenia przez idee. Uwiedzeni nimi przeżywają złą miłość podobnie jak to się dzieje w stosunkach osobistych.



Krzysztof i Elżbieta Zanussi po pokazie filmu „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową”, fot. arch. K. i E. Zanussich.



Krzysztof i Elżbieta Zanussi na plaży w Australii, fot. arch. K. i E. Zanussich.

Życie codzienne

E.G.-Z.: Wspólnego czasu z Krzysztofem nigdy nie mieliśmy za dużo... Po ślubie bardzo się starałam, żeby nie zabierać go na wyłączność mamie Krzysztofa, z którą dotąd mieszkał, i przy tej okazji muszę się pochwalić jedną moją zaletą. Kiedy wracał z podróży, to mama siadała przy nim w fotelu i towarzyszyła mu bez względu na to, czym się zajmował. Wtedy kompletnie się wycofywałam, rozumiejąc, że to są ich ostatnie lata i trzeba dać im ten czas.

K.Z.: Mama dożyła prawie setki, a my nasze małżeństwo zawarliśmy po czterdziestce.

E.G.-Z.: Wycofywałam się w sytuacjach, kiedy każda młoda żona trzasnęłaby drzwiami. Znam parę przykładów, pokazujących, jak zaborczość matek szkodzi związkom ich dzieci. Przychodzi mi do głowy sytuacja mojej siostrzenicy z Włoch, której teściowa pierwsza podchodziła do drzwi i przed nią witała wracającego syna. Kiedy młoda żona chciała zawisnąć mu na szyi, to się stawało po prostu niemożliwe. Usuwanie się na drugi plan w podobnej sytuacji było dla mnie pewnym poświęceniem, które uważałam za słuszne.

K.Z.: A jednak czasem wasze relacje nie były łatwe. Nie kształtowały się wyłącznie naturalnie, ale za sprawą świadomej woli. Byłem już starym chłopem i dotąd mama miała mnie na sto procent. Kiedy w życie syna po czterdziestce wkracza inna kobieta, katastrofa jest gwarantowana. Mało tego, chwilę po naszym ślubie mama zamieszkała u nas. Dotąd była królową w swoim domu, a nagle znalazła się u kogoś.

E.G.-Z.: Szalenie sobie ceniłam to, że mama nie chciała mi w niczym zrobić krzywdy, nie utrudniała mi życia. Myślę, że od początku zdawała sobie sprawę, że i tak będzie niełatwe. Bardzo kochała Krzysztofa, a przez niego i mnie. Wydaje mi się, że Krzysztof jest do niej podobny. Zachowywała nieustanną

młodość, co wyszło na jaw na spotkaniu z hiphopowcami, którzy występowali przed Janem Pawłem II, a potem przyszli zatańczyć dla niej. Nie mogła się z nimi nagadać, jakby była ich równolatką. Krzysztof też stale ma wykłady dla młodych. Jednak cechowała ją też nieufność do świata, którą on od niej przejął. Za to umiała sobie radzić z wieloma problemami i nie obarczała nimi innych. Gdy przeżywała trudności w życiu małżeńskim, to bardzo pięknie potrafiła się w tym wszystkim znaleźć. Nigdy też nie narzekała na swoje zdrowie.

K.Z.: Mama trzymała klasę. Spokojnie przyjęła do wiadomości, że nie wolno jej się szarogęsić w naszym domu. Umiała przygotować kilka dobrych dań, ale generalnie nie była artystką kuchni. Właściwie jedyną potrawą, którą przyrządzała lepiej od ciebie, była jajecznica. W zasadzie we wszystkim jesteś dużo lepsza i mama umiała to przyznać.

E.G.-Z.: Co ty mówisz! Przecież mama piekła też genialny sernik! Była bardzo sprawna manualnie i technicznie, i starała się sama wykonywać różne prace. Ale widziałam też, jaki czuje zachwyty, gdy przebiłam ją w praktycznych i technicznych umiejętnościach. Na przykład robiłam obiad w piętnaście minut...

K.Z.: A mama w dwadzieścia ...

E.G.-Z.: A przyjęcie dla pięćdziesięciu osób przygotowywałam w ciągu dwóch i pół godziny. I do dziś nie jest to dla mnie większy problem. Naprawianie kontaktu zajmowało mi tylko chwilę. Kiedy widziałam zepsuty kran, z którego leje się woda, to za moment już się nie lała. Kiedy zauważyłam, że kółko od jej fotela się odczepiło, już po chwili musiało być na swoim miejscu. Mama te moje działania doceniała i szczerze mi to okazywała. To było nadzwyczajne!

(...) Kiedy ktoś się do nas tak dobrze odnosi, to chce się żyć. I chce się robić jeszcze więcej pożytecznych rzeczy.



Krzysztof i Elżbieta Zanussi oglądają zdjęcia, fot. Wydawnictwo Działania wizualne.

O przemijaniu

K.Z.: (...) Sam nieustannie stawiam sobie rozzierające pytania, które dręczą mnie od dzieciństwa: „Jak się pogodzić ze śmiercią? Jak się z nią spotkać, żeby to nie była tragedia, katastrofa, kropka? Ile trzeba mieć nadziei i jak ją należy chronić, żeby bez uszczerbku donieść ją do końca?”.

Kiedyś w kenijskiej wiosce byłem świadkiem śmierci młodego Masaja. Miałem wrażenie, że zachowujący wtedy ogromny spokój członkowie jego plemienia wiedzą o odchodzeniu coś, czego nie nauczono mnie na żadnym uniwersytecie. Może

posiedli tajemnicę, którą znał też święty Bernard z Clairvaux w moim filmie „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową”, kiedy spokojnie przygotował skazańca na śmierć jak na jakieś wyjątkowe, ale przecież tylko przejście.

E.G.-Z.: Krzysztof odczuwa lęk przed śmiercią, bo pozostaje bardziej po tej stronie. Jego wiara jest strofowana przez rozum, który prowadzi na manowce. Rozum z wielką niechęcią przyjmuje to, co go obraża, a więc cierpienie, choroby psychiczne, śmierć. Dlatego przed faktem śmierci czasem dębieje ze strachu. Kiedy na końcu jego filmu „Życie jako śmiertelna choroba” Zapasiewicz mówi do studenta medycyny: „Tnij, to tylko ciało”, jest świadomy istnienia innej perspektywy. Gniece nas ciało, rozum i psychika, ciągnąca do marności. Poprzez nie odczuwamy cierpienie, zazdrość, nienawiść – to gniazdo os, które chce nas zniszczyć. Piękno i dobro przychodzą z góry. Miejmy nadzieję, że dzień śmierci to będzie nasz najpiękniejszy dzień. (...) Im człowiek starszy, tym bardziej tęskni za zrzuceniem ciała. Czuje, jak jego siły zostają podcięte. Tam klucze zapomniane, tu samochód stuknięty...

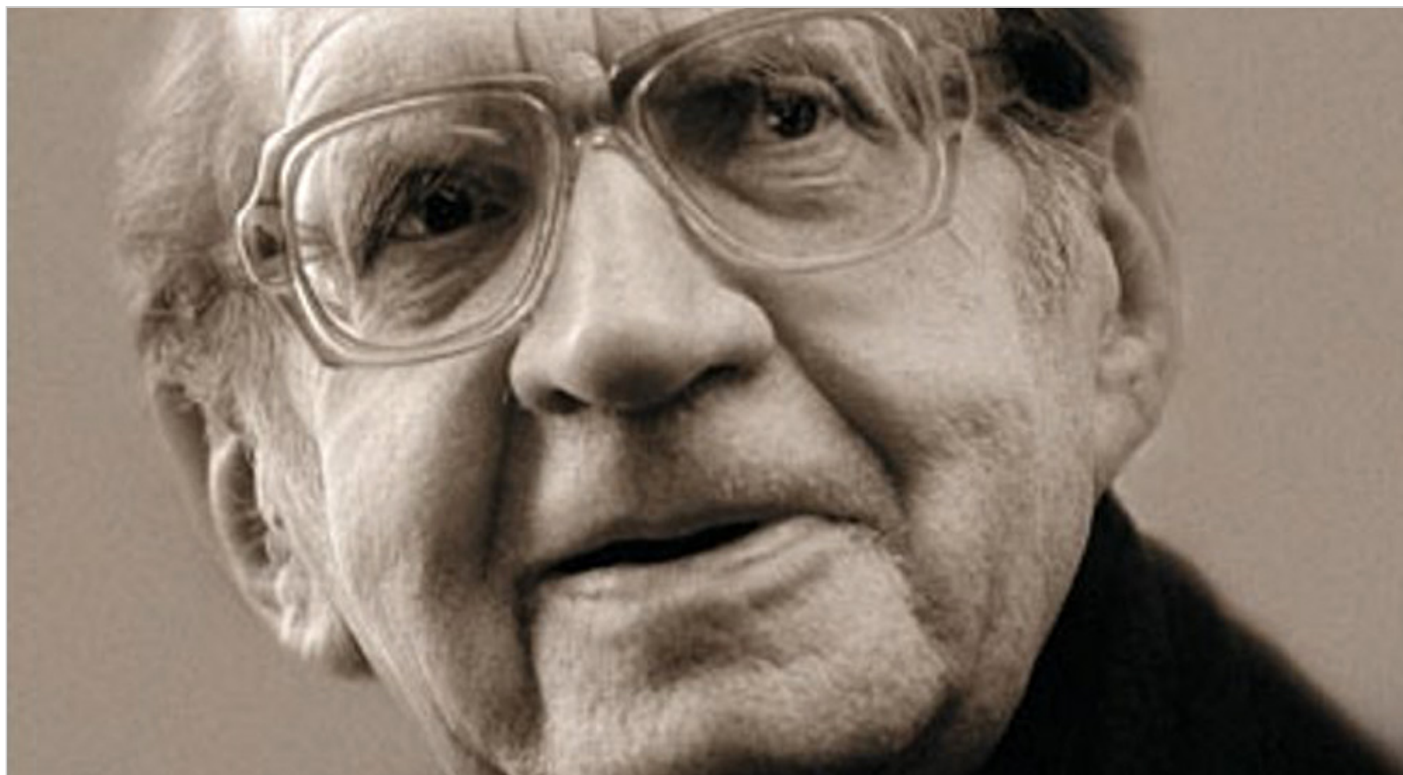
K.Z.: Tyle mówimy o umieraniu, a czemu nie przypomnieć teraz słów Goethego: „Trwaj chwilo, jesteś piękna!”. Nie zwalniam tempa – wciąż pracuję na dwóch etatach. Nadal, realizując filmy, odczuwam radość, że wymyślony przeze mnie obraz ożył. A jeszcze większą wtedy, gdy widzę, że ktoś w niego uwierzył.

Muszę przyznać, że w jakimś sensie nie doświadczam jeszcze żadnych ograniczeń wieku. Wciąż podróżuję, latam czasem dwa razy w miesiącu do Stanów i jestem w stanie to wszystko przetrzymać. Im mniej chwil pozostało, tym bardziej się nimi cieszę. Tyle miłości mnie w życiu spotkało, tyle piękna zaznałem. Chciałbym to przeżywać jak najdłużej i nie oczekuję niczego więcej. (...) To, co jest – jest wspaniałe. Choćby ten uroczy moment w naszym ogrodzie. Mówię: „Niech ta chwila trwa”, choć mam 80 lat.

Barbara Gruszka-Zych, Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem, wyd. Działania wizualne, 2019.



Nieobecni są najbliżej



Ks. Jan Twardowski, fot. znak.com.pl.

Barbara Gruszka-Zych

Do dziś przechowuję jeden z najcenniejszych dla mnie listów. Napisał go ks. Jan Twardowski po przeczytaniu moich tekstów poetyckich.

Te wiersze są proste, pisane bez zbędnych udziwnień. Myślę, że łatwo mogą trafić do czytelnika. Byłam szczęśliwa, że taką opinię wydał mi ten, który pisał najprościej jak tylko można. I dzięki temu trafiał do milionów czytelników. Bez wątpliwości można powiedzieć, że przez ostatnie 20 lat był najczęściej wydawanym, czytany i cytowanym polskim poetą. Ale kiedy odwiedzałam go

z przyjaciółmi w kościele Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, nie wiem, czy z kokieterią, czy prawdziwym niedowierzaniem – pytał tym swoim cichym głosem przechylając głowę:

I tak naprawdę mnie czytacie? Inni też? Naprawdę wam się to podoba? A przecież te moje wiersze takie tam...

Przez lata nie był drukowany. Na jego tomikach nie pojawiała się też informacja, że jest księdzem. Nie tylko ze względu na ograniczenia minionego ustroju. Taka była też wola, żeby – jak nam mówił – nie narzucać czytelnikowi odbioru. Przecież czytali go również niewierzący. Bo w swoich wierszach nie pouczał, nie prawił morałów, nie straszył piekłem, a nawet się usprawiedliwiał: *nie przyszedłem pana nawracać*. – Wiara moja, jak i innych ludzi, podobnie jak niewiara, wydaje mi się tajemnicą – powiedział w jednym z wywiadów.

Urodził się w Dniu Dziecka, 1 czerwca w 1915 r. w Warszawie. Może dlatego tyle potem pisał o dzieciach. *Być na piątkę obiecuje, a z piątego piętra pluje* – uczyli się na pamięć moi jeszcze mali synowie fragmentów z jego „Patyków i patyczków” (dziś mają po kilka tych książek z cennymi dedykacjami Autora, pisanymi drobnym pismem: „Kochanemu Tymkowi”, „Drogiemu Błażejkwowi”).

Dla twórcy „Znaków ufności” ważne były lata gimnazjum, szczególnie zajęcia z nauczycielem biologii – Władysławem Kociejowskim, który kazał mu prowadzić zielnik i uczył nazw roślin. Potem w swojej poezji ze znanostwem przywoływał „po imieniu” jesion, czeremchę, wiąz. Pasjonowała go też literatura. Jeszcze przed wojną, pod wpływem Józefa Czechowicza, wydał pierwszy tomik „Powrót Andersena”. Rozpoczął studia na polonistyce, był uczniem słynnego prof. Wacława Borowego. Podczas okupacji wstąpił do AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. W Radomiu, po spotkaniu z rodzicami postanowił, że pójdzie do Seminarium. Polonistykę skończył w 1947 r., święcenia przyjął w rok później. Był też związany z Katowicami. Tu przez długie lata mieszkała przecież jego siostra. Tutaj w „Odrze” drukował swoje wiersze pod pseudonimem Antoni Derkacz:

O najdroższa! Pod tej fary wieżą,
przy jabłoni siedem kroków w bok,
w szklach rogowych księża nie dostrzegą
jak ust blisko włosów twoich lok
(„O tej łzie co na końcu spadła”).

Jego pierwszą parafią był Żbików, gdzie pracował w szkole specjalnej. W 1950 r. z Pliszowa pisał do poety Jana Ożoga:

Myślę, że nigdy nie należy czynić z poezji najważniejszego problemu swojego życia - trzeba umieć postawić ją w odpowiedniej proporcji do innych spraw.

I to przesłanie starał się realizować zarówno w latach 60., kiedy nie wydano żadnego tomu jego wierszy, jak i w latach 90., kiedy ten sam jego wiersz publikowano jednocześnie w czterech różnych wyborach poezji, i gdy tłumaczono go na różne języki.

Zawsze zwracał uwagę przede wszystkim na innych. Kiedy razem z przyjaciółmi z warszawskiej polonistyki na początku lat 80. chodziliśmy go odwiedzać w zakrystii kościoła ss. Wizytek, gdzie był rektorem, zawsze znajdował dla nas czas. Przychodził nieodmiennie w sutannie, wysoki, w rogowych okularach jak z wiersza, ze skromną, ortalionową siatką w dłoni. Przynosił w niej swoje poezje, a raz zapiski o przyjaciółce, przedwcześnie zmarłej Annie Kamieńskiej (powtarzał, że była świetną poetką religijną, zachęcał do jej czytania, mówił, że musi poświęcić jej wspomnienie). To właśnie w odpowiedzi na jej wiersz napisał: *Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą*. Uczyliśmy się tego utworu na pamięć i omawialiśmy na lekcjach w ramach praktyk studenckich jeszcze zanim włączono go do podręczników

szkolnych. (Na początku lat 90. te słowa znalazły się - jako swoiste memento - w wielu nekrologach). Zapraszał, żebyśmy usiedli, pytał skąd jesteśmy, jak długo jechaliśmy, czy jesteśmy zmęczeni i głodni. Interesował się każdym z osobna, zapamiętywał nasze imiona.

Kiedy po latach odwiedziłam Poetę ze starszym synem, Tymek był zdziwiony, że dobiegający 90. Ksiądz pamięta dobrze mnie, moje koleżanki i kolegów: Zuzię, Jolę, Andrzeja. (Sam uczył się cytatów z jego wierszy: *Bo pozwalają patrzeć na świat z optymizmem* - mówił.) Rozmawialiśmy wtedy o nienawiści, przebaczeniu i miłości. Ksiądz powiedział, że codziennie rano podczas modlitwy powinniśmy oczyszczać się z uprzedzeń do ludzi. *Moja nienawiść żywi drugiego, ułatwia mu nienawiść* - ostrzegał.

Ocalić nas może miłość. Ale nie tylko samo uczucie zakochania, ale troska o drugiego, opieka, wyjście poza siebie do kogoś. Ona jest najważniejsza, bez niej nie ma całego życia.

Zwykle do „jego” konfesjonału ustawiały się kolejki. Niektórzy żartowali, że Ksiądz jeszcze zanim wysłucha, już daje rozgrzeszenie. Tak wierzy w Boże Miłosierdzie i tak docenia wszystkich, którzy przyszli wyznać swoje winy. W wierszu „o

kościół” pisał, że to miejsce, gdzie musiał *stale chować się do konfesjonału, któremu stale odrastają uszy*, i gdzie modlił się, *żeby nigdy nie być ważnym*. A przecież musiał wiedzieć, otoczony miłością czytelników, że ta ostatnia modlitwa nigdy nie została wysłuchana.

Dziś wybór Jego wierszy nie przez przypadek otwiera się na słowach: *przecież tylko nieobecni są najbliżej* („o nieobecnych”).